

James W.
HUSTON



**List
kaperski**

James W. Huston

List kaperski

Przekład: Krzysztof Sokołowski

Dla Dianny

ESPADON PUBLISHING
W A R S Z A W A 2 0 2 0

1

Najszybszy statek świata przybił do nabrzeża portu w Dżakarcie tuż przed wschodem słońca. Sześć odrzutowych silników ucichło po raz pierwszy od momentu, gdy przed dziesięcioma dniami opuścił on San Diego. Kapitan Clay Bonham przechylił się przez reling mostku i tylko z niedowierzaniem pokręcił głową widząc, jak robotnicy portowi, oddaleni od niego o siedem piętér, leniwie zakładają na pacholki cumy. Jego statek ustanowił właśnie rekord przepłynięcia Pacyfiku, a nikt nawet nie pofatygował się go powitać.

Inaczej witano Lindbergha w Paryżu, to pewne.

Kapitan, zajęty rozważaniem swego miejsca w historii, nie zauważył ciemnoniebieskiego autobusu, parkującego przy nabrzeżu, w odległości jakiś dwustu metrów. Wrócił na kryty mostek „Pacific Flyera”. Indonezyjski pilot schodził właśnie po sterburcie na holownik.

– Dobra robota, Bacon – powiedział zgryźliwie do sternika. – Może nawet cię nie wyrzucę?

– Przyjechali ludzie z Forda. Dość wcześnie – zwrócił mu uwagę John Franklin, pierwszy mechanik, patrząc z góry na podjeżdżający autobus, na którym mógł już odczytać słowo „Ford”. Grube okulary powiększały mu oczy, które sprawiały przez to wrażenie stale zdziwionych.

– Pewnie potrzebny im autobus mechaników, żeby w ogóle uruchomić te graty. – Kapitan uśmiechnął się kąpiąco. – Widziałeś je przy załadunku? Wyglądają na zaprojektowane przez komisję. – Napił się kawy. – Bo pewnie tak właśnie było. – Zamieszał ją łyżeczką. – Jak się nazywają? – Spojrzał na inżyniera. – Zapomniałem...

– Ascenda.

– Otóż to właśnie. Co to za nazwa? – Bonham spojrzał na podjeżdżający do statku autobus. – Lepiej zejdź na dół i pomóż im – polecił, przenosząc wzrok na gasnące światła miasta.

Świt w Dżakarcie. Statki, łodzie, tłumy ludzi, wszechogarniający, ogłupiający upał, lecz nie na „Flyerze” – kapitan Bonham utrzymywał we wnętrzu statku stałą temperaturę dwudziestu dwóch stopni. Obejrzał się teraz na Franklina, by sprawdzić, czy zareagował na rozkaz. Tolerował faceta, bo był niezłym mechanikiem, ale prywatnie uważał go za ofiarę. W szkole przewodniczył pewnie klubowi krótkofalowców.

– Kogo powinniśmy się spodziewać? – spytał Franklin.

– Przewodniczącego zarządu Forda, ale to dopiero za parę godzin. Ministra handlu razem z bandą... – odchrząknął, jakby to słowo nie chciało mu przejść przez gardło – ...polityków. Powiedzmy z dziesięciu. Nowy samochód do nowego salonu, wielka ceremonia, cięcie wstęg, normalna strata czasu i pieniędzy podatników. – Widział, jak dźwig przesuwają trap w stronę statku. Autobus zatrzymał się obok nich. – Zejdź na dół i pomóż chłopcom z Forda – polecił.

Franklin skinął głową i zszedł z mostku. Szybko poruszał się po drabinkach w sposób świadczący o wielkim doświadczeniu, przeszedł po pokładzie i doszedł do głównego luku, do którego właśnie mocowano trap.

– Wszystko w porządku? – spytał Phillipsa, potężnie zbudowanego marynarza, który uczestniczył już z nim i Bonhamem w kilku rejsach. Phillips palił papierosa, obserwując dźwig próbujący ustawić długi metalowy trap.

– Raczej tak – odparł spokojnie. – Operator dźwigu jest pewnie zalany, ale i tak nieźle mu idzie.

Franklin spojrzał na chwiejący się w powietrzu trap. Na nabrzeżu stało dwóch mężczyzn. Autobus Forda zaparkował jakieś trzy metry dalej. Wreszcie trap trafił na

miejsce, Phillips złapał go, zabezpieczył, przeszedł w pół drogi i odczepił szkle, trzymające cztery liny wiążące trap z dźwigiem. Dwaj celnicy na nabrzeżu krzyknęli coś po hiszpańsku; w odpowiedzi gestem zaprosił ich na pokład. Franklin stał u szczytu trapu, czekając na nich. Celnicy weszli i na powitanie podali mu ręce.

– Dzień dobry – przywitał ich. – Mówicie po angielsku?

– Tak, trochę – odparł jeden z mężczyzn. – Pan oficer?

– Jestem pierwszym mechanikiem.

– Ma pan papiery?

– Jasne. Zapraszam do biura. – Franklin ruszył przed siebie korytarzem. Przystanął na chwilę. – Hej, Phillips.

– Tak? – Phillips oderwał się od rozmowy z innym marynarzem.

– Pomożesz chłopakom?

Phillips zmarszczył brwi, niezbyt rozumiejąc, o co chodzi. Spojrzał przez ramię na autobus, zobaczył wysiadających z niego mężczyzn w niebieskich kombinezonach, podniósł oczy do nieba i skinął Franklinowi głową.

Na trap weszło trzydziestu mechaników Forda, każdy z wielką torbą w ręku. Phillips ustąpił im z drogi. Przy luku, na pokładzie, zmieściło się tylko dwudziestu, reszta czekała na nabrzeżu, przestępując niecierpliwie z nogi na nogę. Ciężkie mają te torby, pomyślał marynarz. Zachichotał, wyobrażając sobie, że każdy z nich niesie pewnie nowy rozrusznik do nowiutkich amerykańskich samochodów, które ich zdaniem po podróży nie mają prawa zapalić. Ich szef podszedł do niego. Phillips wyciągnął rękę.

– Dzień dobry – przywitał go uprzejmie.

– Dzień dobry – odburknął mechanik, nie ujmując wyciągniętej dłoni. Phillips spojrzał mu w oczy i nie znalazł tego błysku dumy, który – o ile traktować poważnie reklamy – jest cechą charakterystyczną każdego mechanika Forda.

– Przyszliście przygotować samochody?

– Gdzie kapitan? – odparł pytaniem mechanik. Miał smagłą cerę, czarne oczy i cienkie brwi. Był niższy od Phillipsa, mierzącego metr dziewięćdziesiąt wzrostu i ważącego dobrze ponad sto dziesięć kilogramów, ważył pięćdziesiąt kilo, może pięćdziesiąt pięć.

Mógłbym go zgnieść jak pchłę, pomyślał Phillips, nieświadomie wciągając pokaźny brzuch.

– Po co wam kapitan? – spytał, zaczynając się lekko denerwować. – Mogę zobaczyć wasze dokumenty?

– Gdzie jest kapitan? – powtórzył spokojnie mechanik, stojąc nieruchomo; wielki Amerykanin najwyraźniej go nie przerażał.

– Zapewne na mostku, ale nim zrobimy następny krok, muszę zobaczyć wasze papiery.

Mężczyzna przykucnął na pokładzie, kładąc obok siebie torbę. Otworzył zamek błyskawiczny do połowy i szybkim gestem wyciągnął z niej chiński pistolet maszynowy Wzór 64 zaopatrzony w długi tłumik. Kiedy wstał, lufa broni oparła się o podbródek Phillipsa.

– Gdzie kapitan?

– Co do diabła...? – Phillips poczuł, jak robi mu się sucho w ustach.

– Zamknij się. – Mężczyzna nie podnosił głosu.

Marynarz posłusznie skinął głową.

– Masz nas zabrać do kapitana. Natychmiast.

Ucisk lufy osłabił nieco. Phillips przełknął ślinę. Serce biło mu mocno. Przyszło mu do głowy, że mógłby ich oszukać, zaprowadzić do jakiegoś pomieszczenia i zamknąć, ale myślał zdecydowanie za wolno.

– Natychmiast – powtórzył mężczyzna.

Phillips ruszył korytarzem, którym przedtem oddalił się Franklin. Zatrzymał się przy pierwszej z serii prowadzących na górę drabin. Stopa obsunęła mu się z pierwszego szczebla. Głośno tupnął o pokład. Przywódca ludzi w kombinezonach Forda przysunął się do niego i położył mu dłoń na ramieniu.

– Jeszcze hałas, zastrzelę – obiecał, przykładając mu lufę do pleców. – Zrozumiał?

Phillips skinął głową. Wspinał się na górę bardzo ostrożnie. Kiedy wystawił głowę na korytarz wyższego pokładu dostrzegł jednego z marynarzy, czekającego, by zejść drabinką.

– Wynoś się! – szepnął rozpaczliwie, patrząc na niego z przerażeniem w oczach.

– A niby czemu? – zdumiał się jak zwykle wesoły Bart Jenkins.

– Już! – Phillips szeptał, choć miał ochotę wrzeszczeć.

Mężczyzna z bronią zorientował się, że marynarz przystanął.

– Co robi? – syknął, przeciskając się przez właz ze zdumiewającą siłą. Phillips upadł na podłogę korytarza. Przywódca wystawił głowę, dostrzegł co się dzieje, uniósł broń. Jenkins zamarł w zdumieniu.

Padły strzały. Jenkins upadł na kolana, dwie kule świsnęły mu nad głową. To mu przywróciło zdolność ruchu. Uciekł na czworakach i znikł za rogiem.

Przywódca wyszedł przed Phillipsa i wstał. Pojawili się też dwaj jego ludzie, obaj z Kałasznikowami w dłoniach, obaj uważnie rozglądający się dookoła. Wskazali w kierunku, w którym uciekł Jenkins. Przywódca pokręcił głową, najwyraźniej go to nie niepokoiło.

Phillips wstał. Przywódca napastników spojrzął mu w oczy.

– Kto to? – spytał.

– Burt Jenkins.

– Co robi?

Phillips omal bezmyślnie nie powiedział mu prawdy, omal nie zdradził, że Jenkins jest łącznościowcem.

– To mechanik – skłamał w ostatniej chwili.

Uzbrojony mężczyzna jeszcze przez chwilę patrzył mu w oczy, a potem powiedział:

– Na mostek!

Wspięli się na kolejny pokład i na następny: wielki marynarz z przodu, a za nim gęsiego rządek facetów w kombinezonach Forda. Marynarze, którzy ich po drodze widzieli zakładali, że mają do czynienia z oczekiwanyymi mechanikami.

Zatrzymali się. Phillips wskazał im właz.

– Mostek – powiedział.

Przywódca rozejrzał się dookoła i odłożył torbę. Pięciu innych „mechaników” wyjęło ze swych torb Kałasznikowy. Rozmawiali między sobą krótkimi zdaniem w nieznanym języku, który Phillips trafnie uznał za azjatycki. Następnie szybko przeszli przez drzwi i rozeszli się, kryjąc każde wejście. Bonham porwał się z fotela na równe nogi – najwyraźniej nie miał pojęcia, co się właściwie dzieje. Tommy Bacon gapił się na intruzów z otwartymi ustami. Przywódca podszedł do kapitana i wymierzył w niego broń.

– Ty kapitan? – spytał.

– Tak. A kim wy, do cholery, jesteście? – Bonham z wysiłkiem powstrzymywał wybuch wściekłości.

– Zamknij się. – Przywódca machnął pistoletem, wskazując innych członków swej grupy. – Oni robią co mówię. Rozumiesz?

Bonham usilnie starał się przeniknąć jego intencje.

– Czego chcecie? – spytał w końcu.

– Statku.

Kapitan z trudem powstrzymał okrzyk zdumienia.

– Nie dostaniecie go – powiedział cicho.

– Już mamy – stwierdził krótko przywódca napastników.

– Za cholerę! Mnie możesz zrobić co chcesz. Reszta załogi nie wykona twoich poleceń.

– Wykona. Broń na pokładzie?

– Nie mamy.

– Macie. Szafka na broń krótką na drugim pokładzie. – Przywódca napastników tylko pokręcił głową. – Pan myśli, że my nie sprawdzili wcześniej, kapitanie Bonham?

– Skąd wicie, jak się nazywam?

– Skłamałeś – przywódca poważnie spojrzał na kapitana. Skinął na jednego ze swoich ludzi, który wyciągnął Phillipsa na środek mostku. – Ukaranie. – Inny „mechanik” położył dłoń Phillipsa na mosiężnej poręczu otaczającej ster i uderzył ręką pięścią pistoletu, miażdżąc mu palec wskazujący lewej ręki. Wyraźnie słychać było trzask pękającej kości. Phillips padł na kolana, skręcając się z bólu.

– Ty sukinsynu! – wrzasnął Bonham, podtrzymując marynarza za ramię.

Phillips klęczał. Twarz miał czerwoną, na czoło wystąpił mu pot. Podtrzymywał lewą ręką prawą, walczył z bólem i robił wszystko, by nie krzyknąć.

– Małe ostrzeżenie – powiedział dowódca. – Następnym razem poważniejsze. Rozumiesz?

Kapitan nie pofatygował się, by mu odpowiedzieć.

– Macie broń?

– Tylko krótką na drugim pokładzie – syknął przez zaciśnięte zęby. Patrzył na Phillipsa, który sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał się rozplakać albo wymiotować.

– Kim jesteście?

– Nie ma zabezpieczenia ceremonii?

– Mieli się do nas zgłosić. Jak się nazywasz?

Tym razem dowódca napastników wykrzywił wargi w lekkim uśmiechu.

– Jerzy Waszyngton – odparł. – Walczę o wolność mojego kraju. Dokładnie tak jak on. Która godzina?

– Która godzina co?

– Zabezpieczenie ceremonii.

– Ósma.

Waszyngton spojrzał na zegarek.

– Gdzie radio?

Bonham nie odpowiedział, więc znów gestem wydał polecenie jednemu ze swych ludzi, który położył na barierce prawą dłoń Phillipsa i zmiażdżył mu prawy palec. Tym razem marynarz krzyknął z bólu i kolana znów się pod nim ugięły.

– Gdzie radio? – Tym razem pytanie zadane zostało z większym naciskiem.

– Za mostkiem – odparł Bonham. Waszyngton wydał dwóm swoim ludziom milczące polecenie.

– Zgadza się. Odbijamy.

– Co? – Kapitan nie wierzył własnym uszom.

– Wydaj polecenie. Odbijamy.

– Ale dlaczego?

– Ja tak rozkazał. Pięć minut. – Waszyngton rozejrzał się po mostku, by sprawdzić, czy nic nie dzieje się bez jego rozkazu.

– Pięć minut nie wystarczy do rozgrzania kotłów.

Tym razem dowódca napastników podniósł głos.

– Nie ma kotłów! Silniki odrzutowe. Włącz je. Wydaj rozkazy!

Bonham odwrócił się i podniósł słuchawkę telefonu przy desce rozdzielczej.

– Oddać cumy! – rozkazał. – Nie, nie żartuj! Oddać cumy... nie, nie musisz wiedzieć dlaczego. Wykonać rozkaz! – Cisnął słuchawkę na widełki. Ruszył przed siebie.

– Dokąd idzie? – spytał go Waszyngton.

– Na skrzydło mostka. Muszę zobaczyć, kiedy oddadzą cumy.

Waszyngton skinął głową i poszedł za nim. Kapitan wyszedł na galerijkę, nie wierząc, że to wszystko dzieje się naprawdę. W myślach cały czas szukał jakiegoś wyjścia z tej sytuacji. Widział, jak oglupieli pracownicy portowi zdejmują liny z pacholek. Wzrokiem poszukał dźwigu, który mógłby usunąć trap, ale nie dostrzegł go. Wrócił na mostek. Podeszedł do opartego na konsolę radaru Phillipsa.

– Nic ci nie jest? – wyszeptał mu do ucha.

Phillips nie odpowiedział.

– Wydaj rozkaz. Płyniemy – polecił Waszyngton.

– Nie mogę. Musimy zaczekać na dźwig, który usunie trap.

– Nie. – Dowódca napastników podeszedł i spojrzął mu w oczy. – Trap nie obchodzi. Rozkaz.

Bonham podeszedł do telegrafu łączącego go z maszynownią. Zadzwonił, ustawił rączkę trzeciego silnika na CAŁA WSTECZ i przemówił do znajdującego się obok głośnika: – Cała wstecz na trzecim!

– Żartuje pan, kapitanie? – przyszła odpowiedź z maszynowni. – Właśnie go wyłączamy.

– Przecież wiem. Cała wstecz na trzecim! – Licznik obrotów przebudził się do życia. Przy sterze nie było nikogo. Miał to w nosie, niech się statek kręci.

– Kto steruje? – spytał Waszyngton.

– Co?

– Kto steruje statkiem?

– To zależy.

Waszyngton spojrzął na Bacona.

– Ty sterujesz?

Baconowi krew odpłynęła z twarzy. Dzielnie skinął głową.

– To steruj.

Marynarz z wahaniem zastosował się do jego polecenia.

– Lewo dziesięć – podyktował mu napastnik. Kiedy kapitan skinieniem głowy potwierdził polecenie, położył ster dziesięć stopni w lewo. Statek powoli zaczął oddalać się od nabrzeża.

Waszyngton wyszedł na galeryjkę po lewej i spojrzął za burtę. Pracownicy portowi stali z zadartymi głowami. Zdumieni, rozmawiali ze sobą z ożywieniem, widząc jak trap ślizga się po nabrzeżu, nadal umocowany do statku. Ślizgał się tak dobre dziesięć metrów nim trafił w pacholek, urwał się i runął do wody.

„Pacific Flyer” opuścił gościnne wybrzeża Indonezji. Przywódca napastników wrócił na mostek.

– Ster prosto – rozkazał.

Przerażony i kompletnie ogłupiały sternik znów spojrzął na kapitana. Próbował oddychać przez nos, ale nie bardzo mu to wychodziło.

– Ster prosto – potwierdził rozkaz Bonham. Bacon wykonał polecenie. Oddalali się zarówno od nabrzeża, jak i od innych statków.

– Ster lewo na burt – padł kolejny rozkaz dowódcy napastników. – Cała naprzód, kapitanie.

Bacon obrócił niewielkie mosiężne koło w lewo.

– Cała naprzód – powtórzył z rezygnacją Bonham.

– Załoga ma przejść na przód statku. Tam na dół, gdzie będziemy ich widzieć. – Waszyngton wskazał na pokład dziobowy, a kiedy dostrzegł wahanie na twarzy kapitana dodał: – Teraz!

Bonham włączył mikrofon systemu komunikacji wewnętrznej.

– Wszystkie ręce na pokład dziobowy! – rozkazał. – Wszystkie ręce na pokład dziobowy!

– Ile ludzi na statku?

– Dwudziestu pięciu.

– Manifest mówi o dwudziestu sześciu. – Dowódcy „mechaników” nie spodobała się usłyszana odpowiedź.

– Ze mną jest ich dwudziestu sześciu.

Prowadzące na mostek drzwi otworzyły się nagle i dwaj z napastników, którzy zeszli z niego przed chwilą, wrócili ciągnąc za sobą Brada Jenkinsa. Trzymając mu łufę przy głowie porozumieli się szybko z dowódcą, który wysłuchał ich i polecił kapitanowi powtórzyć komendę do załogi.

– Wszyscy naprzód. Już!

Oszołomieni marynarze zaczęli wychodzić na pokład dziobowy. Zadzwoił telefon z maszynowni.

– Tak, wszystkie ręce oznacza wszystkie ręce! – krzyknął w słuchawkę Bonham. – Silniki możecie na razie zostawić bez obsługi. Wszyscy mają zameldować się na dziobie.

Waszyngton pojawił się przed nim. Zmierzył go swymi zimnymi brązowymi oczami.

– Marynarz nadawał przez radio – powiedział. – Błąd. – Policzył obecnych na dziobie. – Dwadzieścia cztery – stwierdził. – Powinno być dwadzieścia dwa, cztery tutaj. Dlaczego?

– Nie mam pojęcia – odparł kapitan, choć wiedział, że na pokładzie znajduje się także dwóch indonezyjskich celników. Rozpaczliwie czepiał się słomki, wszystkiego, co mogłoby zmieszać lub zaniepokoić terrorystów.

Waszyngton porozumiał się ze swoimi ludźmi. Czterech terrorystów pozostało na mostku, pozostali zeszli z nim i z kapitanem na dziób. Bart Jenkins i Phillips szli za kapitanem, każdy eskortowany przez osobistych strażników.

Załoga ze zdumieniem przyjęła widok kapitana otoczonego przez uzbrojonych mężczyzn w kombinezonach mechaników Forda.

Terroryści stanęli naprzeciw nich. Połowa obesła grupę i zajęła pozycję za jej plecami.

– Nie rozmawiać – powiedział Waszyngton charakterystycznym dla niego spokojnym, rozkazującym głosem. – Nie ruszać się. Teraz statek mój. Wypływamy w morze. Robicie co mówię. – Wydał krótki rozkaz w swoim ojczystym języku i ci terroryści, którzy stanęli za plecami marynarzy, zaczęli ich teraz rewidować, uważnie, jednego za drugim. Słońce wstało już, znajdowało się teraz za jego plecami i oślepiało na tyle, że nie dało się rozpoznać rysów jego twarzy. – Jeden z was podjął złą decyzję – mówił dalej, patrząc na Barta Jenkinsa. – Nadawał przez radio. – Obejrzał się w lewo, na dwóch towarzyszy strzegących Jenkinsa. Spojrzał na załogę „Pacific Flyera” – przerażonych, wpatrujących się w niego ludzi. Wskazał na Franklina. Dwaj mężczyźni pilnujący Jenkinsa puścili go i złapali wskazanego im Amerykanina. Oczy Franklina, ukryte za grubymi okularami, zrobiły się jeszcze większe i jeszcze bardziej zdumione. Waszyngton znów zmierzył wzrokiem załogę, a następnie gestem kazał Franklinowi wystąpić przed front załogi. Spojrzał mu w oczy.

– Ma coś do powiedzenia? – spytał.

– O czym? – spytał zrozpaczony Franklin, nagle i bardzo dobitnie świadomy ciętego dziobem statku oceanu i wiatru, wiejącego mu w plecy. – Nic nie zrobiłem. Czego ode mnie chcecie? – Obrócił wzrok na swojego kapitana.

– Na kolana! – rozkazał mu Waszyngton.

Pierwszy mechanik spojrział na niego przez okulary, nie wierząc własnym uszom. Nie poruszył się. Waszyngton skierował długi tłumik pistoletu maszynowego wprost w jego czoło. Amerykanin powoli opadł na kolana.

Waszyngton zwrócił się z kolei do Jenkinsa.

– Ty wysłał informacje ze statku? – spytał.

Bart Jenkins spocił się; widział przerażenie na twarzy kolegi.

– Jeśli coś zrobiłem – powiedział, zawahał się i przełknął ślinę – powinniście rozmawiać ze mną i...

– Nie! – krzyknął Waszyngton. – Ukarzę jego zamiast ciebie. – Twarz skrzywiła mu się w grymasie wściekłości. – Nadałeś przez radio?

Jenkins próbował przełknąć ślinę, co ledwie mu się udało. Nie wiedział, co jeszcze może się zdarzyć i jakiej odpowiedzi winien udzielać na pytania, by uniknąć nieszczęścia. Gapił się na Waszyngtona, szukając jednocześnie w myśli jakiegoś ratunku. Mógłby wprawdzie wyskoczyć za burtę, ale wówczas znalazłby się pośrodku oceanu, skazany na pewną śmierć. Może niepotrzebnie się boi? Zerknął na kapitana, który odpowiedział mu niemal niedostrzegalnym skinieniem głowy. Spojrzał na Waszyngtona.

Waszyngton przyłożył lufę pistoletu do głowy Franklina i pociągnął za spust.

2

– Oglądał pan wiadomości? – spytał Jim Dillon, wbiegając do biura przewodniczącego Izby Reprezentantów.

John Stanbridge zrezygnował z podziwiania nocnego widoku oświetlonego pomnika Waszyngtona, odwrócił się i dojrzał pracownika swego biura.

– Nie znoszę, kiedy ludzie zadają głupie pytania – powiedział. – Jakie wiadomości?

– Porwanie. – Dillon obszedł biurko przewodniczącego i włączył mały telewizor, który Stanbridge trzymał na biurku na wszelki wypadek. – Mówią o tym właśnie na CNN.